Kurpie nie chcą łożyć na wojnę z Japonią, mieszkańcy Andrzejewa albo wyjeżdżają do Ameryki, albo czytają książki, szlachta z okolic Sterdyni dumna, lecz mało oświecona, unifikacja lokalnego transportu publicznego na stacjach w Ostrowi i Małkini

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.
Ilustracja wyróżniająca opracowanie:
W listopadzie 1932 r. Szkoła Podchorążych Piechoty w Ostrowi wzięła czynny udział w centralnych obchodach 14-rocznicy odzyskania niepodległości. Na fotografii podchorążacy tuż po przyjeździe przez Małkinię na Dworzec Wileński w Warszawie[1].

Rosyjska prasa rozpisuje się o wielkich, dobrowolnych ofiarach miłującego cara ludu polskiego na rzecz wojny przeciwko Japonii. Z Krakowa donoszą, że rzecz przedstawia się zupełnie odmiennie, a szczególną niechęcią do wspierania wysiłku wojennego Rosji, wyróżniają się Kurpie.

Domy w Andrzejewie pustoszeją, gdyż całe rodziny uchodzą za ocean. Pustka wprawia pozostałych mieszkańców w stan głębokiej melancholii, którą potęguje lektura francuskich romansów, wypożyczanych w nowopowstałej czytelni.

Dr Adam Jarosiński zauważa, że drobna szlachta z okolic Sterdyni „na ogół gorzej od włościan i niedbalej gospodaruje, ma lichszy inwentarz, brudniej mieszka". Po części wini za to nasz doktor sfery inteligenckie, które ograniczają się do oświecania włościan.

Anonimowy podróżnik opowiada o wrażeniach ze swego pierwszego spotkania z organizatorami transportu publicznego na stacji kolejowej w Małkini. Identyczne doznania były udziałem podchorążego, który ponad trzy dekady później pojawił się na stacji w Ostrowi. Można zatem założyć, że była to norma i to nie tylko w naszym regionie.

Redakcja otrzymała przed tygodniem zaproszenie na pewną konferencję. Ze względów towarzysko-kulturalnych wypadałoby pojechać, ale mamy problem. Naczelny matuzalem jechać nie może ze względów zdrowotnych, a redaktorka Beata musi pozostać w miejscu stałego zakwaterowania z przyczyn rodzinnych. Pozostaje zatem Zenek, ale to postać wielowątkowa, nader skomplikowana, według niektórych nie do końca nadająca się do wysyłania w cywilizowane rejony świata. Nie wiemy, co zrobić, zatem tym razem, to my prosimy czytelników o radę, jak zrekonstruować Zenka, aby nadał się do pokazania w środowisku typu *bon ton*.

Zacznijmy od poranka rzeczonego redaktora Zenka oraz kwestii modowych. Beata uważa, że gdyby istniała policja modowa (zbiera podpisy pod obywatelskim projektem ustawy w tej sprawie), to nasz redakcyjny kolega zostałby aresztowany zaraz na progu domu. Po prostu nakłada na siebie każdego poranka to, co ma akurat w zasięgu ręki, nie zwracając uwagi, czy choćby skarpetki są do pary. Gdyby nie jego małżonka (świętej cierpliwości kobieta), która co jakiś czas wymienia wiszącą na stołku przy łóżku garderobę, to Zenek przez lata chodziłby w tych samych ciuchach, póki nie rozsypałyby się w proch ze starości.

[1] „Rzeczpospolita Podchorążacka", R. 3, nr 2 (11) z grudnia 1932 r.

Cóż zresztą mówić o modowych upodobaniach Zenka, skoro kilka razy zdarzyło się, że przyszedł do pracy w jednym bucie czarnym, drugim zaś brązowym, a nawet w jedynym wyjściowym, drugim zaś sportowym. Nie musimy dodawać, że nasz ekstrawagancki kolega uważa czyszczenie obuwia za totalny bezsens i stratę czasu.

Beata, w porozumieniu z małżonką Zenka, zadecydowała o lustracji garderoby naszego kolegi, celem sprawdzenia, czy jest posiadaczem czegokolwiek, w czym mógłby pokazać się pośród zacnych ludzi. Oczywiście, żadnych rewelacji się nie spodziewała, bo Zenek pokazuje się w redakcji jedynie w dżinsach, bojówkach i sztruksach… Młodszym czytelnikom wyjaśniamy, że sztruksy, to coś takiego, co nosiło się w głębokich latach dziewięćdziesiątych, ale z tym się nie obnosiło, bo oznaczało wykluczonego z socjety dziwaka. O dziwo, okazało się, że Zenek dysponuje garniturem. Zdawał w nim maturę, a jest to ubiór w kolorze nieokreślonym, czyli typowym dla przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych ubiegłego wieku. O kroju tego czegoś, wolała się Beata nie wypowiadać.

Cały przyodziewek Zenka, licząc w cenach podobnych fatałaszków w sklepach z używaną odzieżą, wyceniła Beata na 8 złotych i 76 groszy (nie uwzględniając kosztów utylizacji pozostałych ciuchów). Ta sama Beata podliczyła, że wydając około 160 złotych, moglibyśmy uczynić z Zenka dżentelmena, który niósłby w świat chwałę polskiego handlu odzieżą używaną. Był wtorek, więc następnego dnia miała nadejść świeża dostawa towaru do pobliskiego szmateksu, co jawiło się znakomitą okazją do dokonania rewolucji w *image* Zenka. Beata już chciała wykrzyknąć Eureka, ale jej zapał ostudziła druga połowa ubraniowego nonkonformisty. Staranniejsze dobranie odzieży wymagałoby bowiem zabrania Zenka na zakupy, a według pani Krystyny (żony Z.) wycieczka z jej mężem do sklepu to rzecz niemożliwa, gdyż ten uznaje wyprawy po sprawunki odzieżowe za czynność uwłaczającą godności prawdziwego faceta.

Nawet gdybyśmy rozwiązali problem *designu* tekstylnego naszego kolegi, to pozostają dziesiątki innych nie mniej kłopotliwych kwestii, uniemożliwiających wysłanie Zenka na salony: fryzura – Beta skwitowała ten aspekt estetyki Zenka wyrażeniem – „o Boże!"; pożółkłe uzębienie – „o kurczę!"; paznokcie – „w mordę jeża!" itd. Nie musimy dodawać, że pytania o takie drobiazgi, jak krawat czy spinki do mankietów, Zenek skwitował krótko – Co takiego?

Ogólny stosunek Zenka do współczesnej stylistyki dobrze obrazuje choćby jego podejście do problemu dzwonków telefonicznych. Naturalnie, nie śledzi informacji o nowościach gadżetowych, także tych telefonicznych, bo ma to w głębokim poważaniu, znaczy się w nosie. Używa po prostu tych komórek, które pozostawia zawsze zaopatrzona w najnowszy model żona. O jego kompletnym braku estymy dla kwestii własnej prezencji świadczy fakt, że jest posiadaczem aparatu w kolorze zupełnie niemęskim, a mianowicie czerwonym, ten zaś wydaje z siebie jakieś romansowo-idylliczne dźwięki. Ta słodka muzyczka tak wkurza Naczelnego, że zapytał Zenka, czy nie mógłby zmienić tych arkadyjskich treli? Czytelnicy domyślają się zapewne, co odpowiedział nasz współpracownik – A po co? Skoro są, to bez sensu zmieniać.

Nie musimy dodawać, że to samo dotyczy spersonalizowania tapety telefonu czy tła pulpitu ekranu komputera. Wystarczyłoby przecież, żeby poświęcił pół dnia, a patrzyłby na jakiś sympatyczny landszafcik, miłego zwierzaczka czy ciekawą scenkę rodzajową, ale on palcem nawet nie kiwnie w tej sprawie. Latami patrzy w to, co dała mu fabryka (lub małżonka w przypadku telefonu).

Taka konferencja nie składa się wyłącznie z mniej lub bardziej nużących referatów. Trzeba także pogawędzić o czymś w kuluarach. Zwykle są to rozmowy o niczym, bo ludzie są różni, różne mają poglądy, a zatem po co szukać pretekstu do zwady. Jedna osoba wyciąga telefon, by pokazać fotografie z wesela kuzyna, inny chwali się zdjęciami z chrzcin wnuczka, a ktoś uznaje za konieczne zaprezentować 500 fotek z wczasów w Egipcie. Nie ma co ukrywać, że nie tylko Zenek, ale i Naczelny do spółki z Beatą są zdania, że trudno o coś nudniejszego, bo nie sposób pasjonować się konsumpcją kotleta przez nieznaną otyłą kobietę albo oglądanym po raz tysięczny, pechowo rzuconym wiankiem, a i pływanie na bananie, każdy przecież widział przynajmniej kilkaset razy. Musimy jednak stwarzać pozory, że nas to interesuje, a tymczasem na sam dźwięk słowa „ślub" czy „banan" – Zenek znika.

A takie sprawy kulinarne. Przecież Zenek to skamieniałość z zamierzchłej epoki! Codziennie, bez względu na porę dnia lubi jadać: boczek, tłustą kiełbasę, mielonego, schabowego z kapustką, smalec ze skwarkami, pierogi z mięsem (wyjątkowo z serem), bigos… i tym podobne, powszechnie uważane za plebejskie potrawy. Z egzotycznych zaś dań toleruje wyłącznie pizzę i spaghetti. Pojęcia takie jak *lunch* czy *brunch* są mu zupełnie nieznane. W kulturalnych sferach wypada porozmawiać o winie i rozkoszować się trunkiem (ewentualnie, skrytykować, ale to wyższa szkoła jazdy), używając w tym celu przynajmniej 5-10 słów, dowodzących, że jesteśmy sommelierami, kiperami, enologami, czy jak tam zwą się tacy snobistyczni spece. Tymczasem Zenek pił wino po raz ostatni w czasach studenckich i to krajowe, jabłkowe z dodatkiem siarki, a to przecież w wyższych kręgach tabu. Teraz pija wyłącznie piwo, ale żadne wynalazkowe, garażowe czy smakowe… no i od czasu do czasu gorzałkę.

Gdy człek siedzi przy stoliku, alkoholizując się winem, to wypadałoby nawiązać konwersację w zakresie kulturalno-oświatowym… wiecie, taką o sztuce, malarstwie, architekturze, literaturze i takich różnych podobnych tematach, co ma dowodzić, że nasze IQ jest nieco wyższe od tego wyróżniającego średnio inteligentnego pierwotniaka. Nie ma co ukrywać, że taka dysputa polega prawie zawsze na wymianie steku rozmaitych bzdur, komunałów, ale ich umiejętne powtarzanie i mieszanie, czyni z nas człowieka światowego, o horyzontach globalnych. Przyznajmy, że prawie każdy zna gościa/inię, który sztukę żonglowania kilkunastoma słowami doprowadził do takiej perfekcji, że doszedł do najwyższych urzędniczych stanowisk, na niczym się w gruncie rzeczy nie znając i nie posiadając żadnych kwalifikacji. Takie argumenty jednak na Zenka nie działają. Na propozycję przeprowadzania w redakcyjnym gronie kulturalnej, treningowej konwersacji, odpowiedział – Nie będę strzępił języka po próżnicy.

Zenek jest sympatyczny, a jego spontaniczne, w pełni naturalne reakcje i zwyczaje nawet nas bawią. Jak jednak w ciągu zaledwie dwóch tygodni nauczyć takiego osobnika dobrych manier, uczynić obytym, domytym, przygotować do zaistnienia w świecie elit? Wydaje się to niemożliwe, ale genialna Beata, przypominała sobie szczęśliwie film *Pretty woman*. W dziele tym pewien Amerykanin próbuje przeistoczyć w damę, piękne, acz nieokrzesane dziewczę. Obejrzymy, może i nam uda się przemienić jaskiniowca w dżentelmena?[2]

[2] Nie wiemy, jak będzie dalej, ale ZWIASTUN wydał nam się zachęcający do wytężonej pracy nad osobowością i stylem Zenka.

[„Polak : pismo dla wszystkich”, nr 5 z maja 1905 r.]

SPRAWY POLSKIE
W zaborze rosyjskim

Gazety rosyjskie rozpisują się o tym, że naród polski pokazał, iż sprzyja Rosji, że dobrowolne ofiary płyną z Polski na wojnę, że przede wszystkim lud polski dowiódł swej miłości dla cara, uchwalając znaczne sumy po gminach. *Warszawski Dniewnik*, pismo moskiewskie wychodzące w Warszawie, drukuje ciągle wykazy gmin, które uchwaliły ofiary z funduszów kas gminnych pożyczkowych.

Kto jednak bliżej wejrzał w to, co się u nas dzieje, ten wie, że lud polski, nienawidząc Moskali, w wielu miejscach składek stanowczo odmawia, a w innych, choć dać nie chce, nie znając dobrze praw zebraniu gminnemu przysługujących, pozwala się oszukiwać gminnym urzędnikom i rozmaitym przez nich przekupionym lub zależnym od rządu marnym ludziom.

Według wiadomości, jakie otrzymaliśmy, wiele gmin nie chciało nic na wojnę ani na rannych uchwalić.

[…]

Odmówiła pieniędzy gmina Dylewo. Kurpie dowodzili, że mają tyle potrzeb do załatwienia na miejscu, że nie mogą nic dawać. Komisarz się złościł i z wielkim oburzeniem wykrzyknął: „Widać braci ani krewnych tam nie macie, że nie chcecie nic zrobić, by rannym na wojnie ulżyć”. A na to chłop odpowiedział, że „braci to tam naszych dużo, bo podobno cała połowa wojska rosyjskiego, będziemy im też pomagali, jak tu do nas kalekami po wojnie wrócą, będziemy też pomagali ich żonom i dzieciom, gdy osierocieją, ale tam nie damy”.

[„Naród : pismo codzienne z tygodniowym dodatkiem”, nr 78 z 5 kwietnia 1907 r.]

Z parafii andrzejewskiej pod Czyżewem (Gub. łomżyńska)

Wędrówka od nas do Ameryki tej zimy zagarnęła taką masę ludzi, że jeżeli to dzieje się także w innych okolicach kraju, godne jest w takim razie największej uwagi.

U nas w parafii andrzejewskiej nie mówiąc już o samem Andrzejewie, nie masz ani jednej wsi, z której by nie poszło za morze parę albo i kilkanaście osób, a poszli szukać lepszej doli nie tylko wyrobnicy, służba i młodzież małorolna, lecz właśnie synowie gospodarscy, rzemieślnicy i nawet sami właściciele osad 30 i 40 morgowych. Większość idzie w nadziei zebrania sporo grosza i szybkiego powrotu w strony ojczyste, jednakże sporo wychodźców idzie do Ameryki na stałe, sporo jest zwłaszcza kobiet, które udały się wraz z dziećmi do swych mężów za morze, aby już tu do nas nigdy nie wrócić.

Bezpośrednim skutkiem masowej emigracji jest u nas brak rąk roboczych w gospodarstwie i co za tem idzie, podrożenie płacy najemników i służby. Odbija się do przede wszystkim na dworach, które starają się likwidować swoje interesy drogą rozprzedaży ziemi między

sąsiadów małorolnych. W tym roku w naszej parafii idzie na sprzedaż bodaj ostatni większy folwark – Mianów p. Hretorowicza.

Ze stosunków rolnych godzien podkreślenia jest ruch po wsiach, zmierzający do zmiany nieszczęsnej szachownicy gruntów na samodzielne osady, czyli kolonie. W naszej parafii już cztery wsie, mianowicie Mroczki, Załuski, Grzymki i Łętownica rozeszły się ostatnimi czasy na takie kolonie, zaś w parafii czyżewskiej – między innymi – dokonały tego Pieńki. Gospodarze-koloniści ogromnie sobie chwalą ten rzeczywiście ważny krok na drodze postępu i zachęcają sąsiadów do ich naśladowania. Ale cóż? Przejście od gospodarki w szachownicy do gospodarki na kolonii wymaga wiele dobrej woli, wiele cierpliwości i dobrego przewodnika, doradcy, który by gospodarzom tę zawikłaną sprawę ułatwił. Niestety jak wszędzie tak i u nas o takiego przewodnika przyjaciela niezmiernie trudno. Wdzięczne tu pola mają księża, jeżeli tylko chcą się tej pracy podjąć.

Założone w sierpniu ub. r. Koło Macierzy rozwija się wcale pomyślnie. Staraniem koła powstała czytelnia, która posiada do 600 tomów książek i ma już spory zastęp czytelników.

C.

[„Gazeta Podlaska”, nr 15 z 13 kwietnia 1924 r.]

LISTY ZE STERDYNI
Drobna szlachta

Żaden kraj nie posiadał tyle szlachty – ludzi posiadających „klejnot rodzinny” i posiłkujących się prawami, co Polska i w tym należy szukać przyczyn odrębnego od innych narodów kształtowania się naszego Państwa.

Cudzoziemcy czynili i czynią nam zarzut, że Polska jest krajem reakcji, ponieważ przesycona jest żywiołem szlacheckim, który stanowi 10% całej ludności. Zarzut to jednak niesłuszny, nigdzie bowiem nie było tak wielkiej swobody obywatelskiej, jak w Polsce. Przypomnijmy sobie, że Francja, to najbardziej postępowe państwo, dopiero na początku XIX stulecia, tj. w 300 lat po nas, wprowadziła powszechne głosowanie do ciał przedstawicielskich, a ilość osób upoważnionych do głosu, procentowo był znacznie niższy niż w Polsce.

Szlachta w dawnej Polsce dzieliła się na „karmazynów” – ludzi majętnych i drobny tłum szlachecki, ideałem, którego było posiadanie włóki ziemi, a który zwano szlachtą „szaraczkową”, miejscami „chodaczkową”, a ogólnie „gołotą”.

I gołota i karmazyni posiadali równe prawa w państwie, mawiano przeto, że „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie”. Dla szaraczka były dostępne wszelkie zaszczyty i dostojeństwa, w kraju jednak głównie rządzili i na bieg spraw politycznych wpływali, przeważnie możni panowie.

Gołota pracowała na roli i zewnętrznie niczym się nie różniła od włościan, wielu przebywało na dworach możnowładców, gdzie otrzymywali ogładę, intratne stanowiska, a często i kawał ziemi. Na wezwanie magnatów, stawiali swoje kreski przy głosowaniu, a zawsze gotowi byli

przypasać szablę do boku, siąść na koń i pociągnąć na wojnę z wrogiem zewnętrznym, czy też przyjmować udział w walkach magnatów pomiędzy sobą.

Niejeden brat szlachcic szedł do miasta, uczył się rzemiosła lub imał się handlu, powiększając w ten sposób żywioł mieszczański.

Drobna szlachta oprócz tego stanowiła podatny materiał do kolonizacji i licznie emigrowała na kresy. Do dziś na Litwie, Łotwie, Ukrainie i Podolu utrzymały się liczne szlacheckie wsie i zaścianki, które zachowały swoją polskość, religię, mowę i zwyczaje.

Jak dawniej, tak i dziś widzimy największą ilość drobnej szlachty na Mazowszu i Podlasiu.

W okolicy Sterdyni mamy dużo wsi szlacheckich, jak Kuczaby, Ratyńce, Zalesie, Długie, Buczyny, Lubienia, Wólki, Trzcińca, Toczyski, Bujały itd., gdzie mieszkają panowie Ratyńscy, Zalescy, Dłuscy, Bujalscy, Trzcińscy, Żochowscy etc.

Cała gmina olszewska składa się prawie wyłącznie ze szlachty.

Szlachta ta z ubioru, mowy i wyglądu, ze sposobu budowania się i gospodarowania nie różni się od włościan, powszechnie jednak zauważyć można, że na ogół gorzej od włościan i niedbalej gospodaruje, ma lichszy inwentarz, brudniej mieszka. Jest bardzo konserwatywną, podczas głosowania do Sejmu stawała po stronie prawej.

Należy podkreślić, że szlachta wysoko ceni swoją szlacheckość i dumną jest z tego, że jest „herbową", wyjątkowo przeto trafiają się związki małżeńskie szlachty z włościanami.

Opowiadano mi, że podczas uwłaszczenia włościan, rząd rosyjski w niektórych miejscowościach chciał uboższą szlachtę obdarować dworską ziemią i zrównać ją z włościanami, ubogi jednak szlachcic nie żałował wtedy trudu i kosztów, by wylegitymować się ze swojego szlachectwa, a darowizny przyjąć nie chciał.

Obok dumy, szlachcic tutejszy jest mało oświecony, posiada bardzo skąpe wiadomości z historii Polski i o tej roli, jaką w przeszłości odgrywał.

Musimy przyznać, że szlachta nasza pod względem społecznym jest bardzo zaniedbaną. Rząd rosyjski faworyzował włościan, a szlachtę spychał w dół i o nią nie dbał. Również mało się nią interesowały sfery inteligentne, które „idąc w lud", miały na względzie tylko uświadamianie włościan – tej najliczniejszej i przyszłej siły narodu. A szkoda, że o szlachtę nie dbano, gdyż praca nad szlachtą, która posiada tradycje i przyjmowała niegdyś udział w życiu publicznym, byłaby bardzo wdzięczną. Chodzi tylko o odnowienie w niej wspomnień tego barwnego i intensywnego życia, jakie niegdyś prowadziła.

Faktem jest, że szlachta w nieskażonej formie zachowała się po dziś dzień, a chociaż pod wpływem niewoli i zmiennych warunków utraciła dawny swój koloryt i stała się szarą, niemniej pod tą szarą powłoką kryją się wartości ideowe, które wydobyć należy.

Jest naszym obowiązkiem, wglądać nie tylko pod strzechy wieśniacze, powinniśmy również przekraczać i progi drobnoszlacheckie, chodzi tu bowiem o potomków tych, którzy zawsze byli gotowi bronić granic Polski i usiali swymi kośćmi wszystkie rubieże Rzeczypospolitej, o potomków tych skrzydlatych rycerzy spod znaku króla Jana, którzy odnieśli pamiętne zwycięstwo pod Wiedniem.

Dr A. Jarosiński

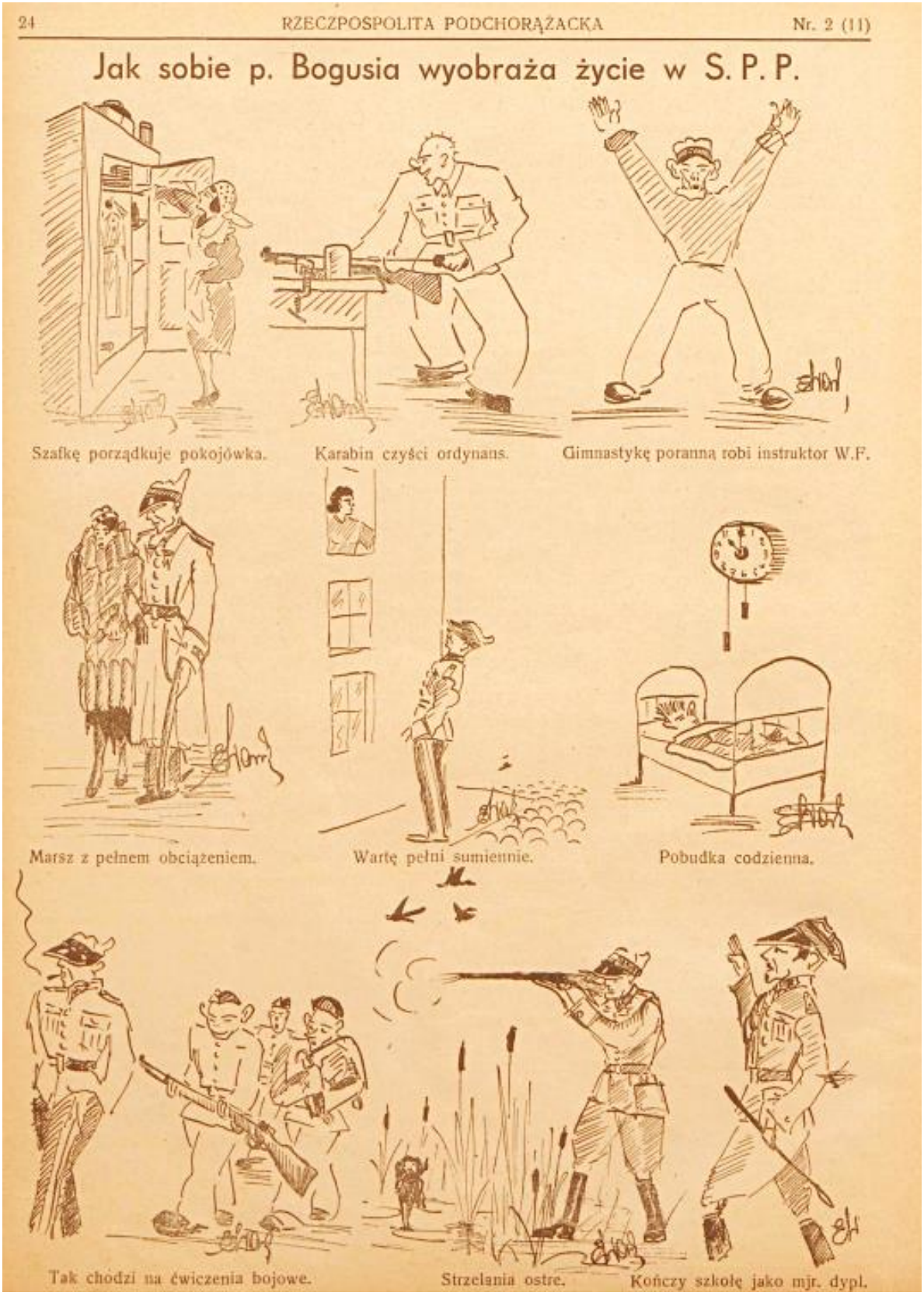

Z kącika satyrycznego podchorążackiej gazety[3].

[3] Tamże, R. 3, nr 2 (11) z grudnia 1932.

[„Echa Płockie i Łomżyńskie”, nr 4 z 14 stycznia 1899 r.]

Z Małkini. Każdy podróżny, wysiadający na stacji tutejszej, a potrzebujący furmanki, literalnie zagłuszany bywa harmidrem, jaki na sali czynią, oferujący swoje usługi Żydzi furmani. Jeżeli krzyku nie dosyć, pomysłowi furmani, za poły chwytają tak, że trzeba ratować się ucieczką z sali pasażerskiej ogólnej, a że i furmani nogi mają zdrowe, to też często odbywa się pościg. Sala klasy 1 i 2-ej w takich razach bywa na klucz zamykana, żeby zbiegowi uniemożliwić schowanie się przed natrętami. Furmanie chrześcijanie, nie zajeżdżają pod budynek kolejowy, a więc chcąc nie chcąc, podróżny zdaje się na łaskę Żydów.

Dla dogodności podróżnych, których okoliczności zmuszają spędzić noc w Małkini, w budynku pocztowym urządzane są przenośne łóżka z pościelą, gdzie potrzebujący schronienia nad głową, ma nocleg darmo. Jakież to wielkie dobrodziejstwo, za które inicjatorom należy się wielka wdzięczność.

Podróżny

[„Rzeczpospolita Podchorążacka : organ Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej”, R. 2, nr 1 (4) z listopada 1931 r.]

Ostrów Mazowiecka! Wysiadać!

Otwieram oczy i wzdycham pobieżnie – cholera. Obok mnie leży na ławce salonowego przedziału trzeciej klasy miły przyjaciel st. strzelec pchor. Muf. Ogarnięty kompletnym bezładem, rozrzuciwszy niechlujnie swe członki, chrapie z wdziękiem konającego odyńca, przyoblekłszy swą fizys idiotyczną miną sytego matołka. Krótka chwila orientacji, decyzja, działanie.

– Muf! Małpo zielona! Czworonogu z oślimi uszami – szczebioczę tkliwie – wstawaj, jesteśmy na miejscu.

Za chwilę gromadka, jak sądzę autochtonów, typów przeważnie semickich, obskoczyła nas dokoła. Brody stargane, plugawe wąsiska, wzrok krwawy, suknia łatana… Garnąc ku sobie wielkie kuferki, tłumoczki, koszałki i opałki, staliśmy bezradni. Ogłuszały nas ryki.

– Ty łobuz. A ganef, a szwarce jur, oba do mnie. Weg. Ty rozbójnik! Ty!

Po paru minutach przewspaniałym ekwipażem „mknęliśmy” już ku murom S. P. P.

– Nu! Fur, fur! Wio! Ein moment! Un zaraz poleci – uspokajał nas energiczny furman.

JUR-WOY